

Krzysztof
Zanussi

**UCZYŃ
ZE SWOJEGO
ŻYCIA**

Arcydzieło

RTCK

– 1 –

Najgorzej jest,
kiedy nienawidzi się
tego, co się robi

UCZYŃ
ZE SWOJEGO
ŻYCIA

Arcydzielo

Niektórzy twierdzą, że w życiu trzeba robić to, co się chce. Ja natychmiast z wrodzonej przekory zawsze różne hasła odwracam – taki zabieg zwykle weryfikuje ich prawdziwość.

Jeżeli hasło daje się odwrócić, to znaczy, że nie jest tak uniwersalne i mądre, jak się wydawało.

Rozumiem, że pięknie by było robić tylko to, co się kocha (ja także bym sobie tego życzył), ale chciałbym zachęcić Państwa, żebyście kochali to, co robicie, nawet jeśli to nie jest to, co się wybrało z pełną świadomością.

Po prostu uważam, że nie ma nic gorszego w życiu, niż nienawidzić tego, co się robi. Znam to niestety z doświadczenia. Wielu ludzi, których spotykam na co dzień, nienawidzi tego, co przyszło im robić – i przez to stają się jeszcze gorszymi ludźmi, co nie jest dla nich żadnym zyskiem – jest czystą stratą.

Mam taką jedną prywatną obserwację związaną z pracą dyplomatów. Otóż bardzo wielu dyplomatów zakochuje się w krajach, w których pracują. Jest to ogromnie niebezpieczne, bo przecież zadaniem dyplomaty nie jest służenie innemu krajowi, tylko działanie dla dobra swojego państwa na terenie innego kraju. Ale jeszcze gorzej jest, gdy dyplomata zaczyna nienawidzić kraju, w którym służy,

a to zdarza się niestety powszechnie. Kiedy pytam o to ludzi z Ministerstwa Spraw Zagranicznych, twierdzą, że ta dolegliwość znana jest na całym świecie. Tyle że to bardzo psuje stosunki międzynarodowe, bo skoro dyplomata nie znosi kraju, w którym służy, nieobiektywnie relacjonuje, co się w nim zdarzyło.

Na tym przykładzie widać, co się dzieje, kiedy nie lubi się tego, co się robi. Nie ma rady! Starajmy się lubić to, co możemy robić. Zaś jeśli chodzi o to, co byśmy chcieli robić, to przede wszystkim trzeba się bardzo dokładnie przyjrzeć, czy naprawdę jest to możliwe. Czy wykazujemy ku temu odpowiednie zdolności?

W psychologii można obserwować takie zjawisko (specjaliści zapewne określą to rodzajem perwersji), że ludzie bardzo często garną się do aktywności, które ich „nie lubią”. Na przykład osoby z krzywymi nogami koniecznie chciałyby występować w balecie... No cóż, każdy zdaje sobie sprawę z tego, że nie jest to dobry pomysł. Nie zachęca się ich do zdawania do szkoły baletowej, bo przecież nawet jeśli bardzo chcą tańczyć, to i tak na scenie będą wyglądać okropnie. Lepiej już odejść od tego pragnienia – uznać je za zwyczajnie niemądre.

Z drugiej strony gwoili sprawiedliwości należy podkreślić, że zdarza się, iż właśnie tam, gdzie napotyamy opór, osiągamy doskonałość. Bywa, że kiedy zaczynamy walczyć z upośledzeniem, słabością, z jakąś formą niedoskonałości, w efekcie osiągamy lepsze wyniki niż ci, którym wszystko przychodzi z łatwością.

Ten mechanizm często obserwuję u studentów (bo – ku mojej radości – wykładam w różnych najdziwniejszych miejscach na świecie).

Otóż ci najbliyskottłwsi młodzi ludzie, ci na pozór najzdolniejsi, dość często wcale nie zachodzą w życie daleko. Natomiast osoby, którym studia sprawiają pewną trudność, które muszą pokonywać przeciwności, którym nie idzie wcale łatwo, bo borykają się na przykład z kompleksami czy mają niskie poczucie własnej wartości, często nagle dostają czegoś takiego... (jakby nowa energia w nich wstępnię), że potrafią osiągnąć niezwykle wyniki. Jest to dla mnie bardzo zastanawiające, a zarazem stanowi dowód na to, że w życie warto i należy walczyć ze słabością.

Przyznam się teraz do czegoś, co – wzięwszy pod uwagę mój wiek – zabrmi pewnie żałośnie. Otóż przez całe życie byłem osobą dość nieśmiałą, choć

prawdopodobnie na pierwszy rzut oka tego nie wi-
dać. Proszę sobie wyobrazić, że ja się boję każdego
spotkania.

*Balem się też spotkania w siedzibie RTCK
w Nowym Sączu, choć na sali widziałem same
łagodne spojrzenia.*

Z nieśmiałością borykałem się jeszcze w dzieciń-
stwie, a potem w młodzieńczych latach – właściwie
przez całe życie byłem trochę wycofany. Uważam
to za przywarę, z którą należy walczyć. Do dziś dnia
prowadzę osobistą krucjatę przeciwko „nieśmielcom”,
gdyż uważam, że jest to jedna z paskudniejszych
przywar. Proszę jednak nigdy nie mylić nieśmiałości
ze skromnością. Człowiek nieśmiały jest w grun-
cie rzeczy zawsze pyszałkiem (i ta cecha nie jest
mi zapewne obca). Kiedy człowiek zaczyna za dużo
myśleć o sobie – gdy zastanawia się, jak wypadnie,
co inni sobie pomyślą, co on tu robi – zaczyna się
niepotrzebnie nakręcać spirala skupienia na sobie –
tak właśnie rozumiem nieśmiałość.

„Nieśmielcy” niezwykle utrudniają innym życie.
Płaczą się pod nogami, zawracają głowę, każą się
wpychać, podpierać – niepotrzebnie to wszystko...
Jeśli masz coś do zrobienia, to rób to, a nie zawracaj
komuś głowy własną osobą. Nie zadawaj też pytań

typu: dlaczego ja, a nie ktoś inny. Masz robić – to rób. I koniec. Tak postępują ludzie skromni i sam chciałbym do nich należeć, choć nie bardzo mi się to jeszcze udaje.

Tak to się dziwnie układa w moim życiu, że od wielu lat podejmuję się różnych zadań jakby sobie samemu na złość.

*Mogę się już ze spokojem do tego przyznać,
bo wszelkie moje kariery powoli się kończą.*

Na przykład od lat, korzystając z licznych zaproszeń, zapowiadam w różnych miejscach koncerty symfoniczne. Proszę mi wierzyć, czuję się wtedy, jakbym przechodził przez czyściec. Za każdym razem panicznie się tego boję i potwornie mnie to męczy. Inni konferansjerzy wyskakują po prostu radośnie na estradę, niczym diabełek z pudełka, a ja całutką noc przed koncertem nie śpię. Jediną moją nagrodą jest to, że mogę potem koncertu wysłuchać, a ja bardzo lubię muzykę.

Nie jestem ani muzykologiem, ani żadnym znawcą przedmiotu – kiedy wychodzę na scenę, mówię zwykle o innych kwestiach, wcale nie o muzyce, a angażują mnie chyba tylko dlatego, że po koncercie ludzie często nie bardzo wiedzą, o czym rozmawiać. Więc gdy ktoś taki, jak ja, wyjdzie i przy okazji

koncertu Mozarta czy symfonii Beethovena opowie parę anegdot, dorzucając do tego kilka kontrowersyjnych uwag, to po koncercie kolacja przebiega w przyjemniejszej atmosferze.

Tak sobie myślę, że właśnie dlatego było mi dane świadczyć tę dziwną usługę w Filharmonii Narodowej i Filharmonii Poznańskiej (jeździłem nawet z nimi do Berlina); w Filharmonii Bałtyckiej zapowiadałem koncert na pięćsetlecie Reformacji... I za każdym razem mam gulę w gardle, kiedy muszę wyjść na estradę.

W dodatku jestem zmuszony wciągać brzuch, bo prawda jest taka, że mój smoking rdbi się coraz ciasniejszy. Podejrzewam, że to z powodu suchego powietrza i upływn lat materiał się zbiega, ale moja żona ma inną teorię – według niej winne są kilogramy i to prawdopodobnie te, które ona nazywa pozamążeńskimi. Bo kiedy się pobieraliśmy, byłem szczupłym młodzieńcem, a już dawno przestałem nim być.

Tak więc walka z nieśmiałością może być, moim zdaniem, przykładem zmagania się z tym, co jest naszą największą słabością. Ludzie śmiali i odważni robią coś, w ogóle nie zauważając problemu; wszędzie wejdą, swoje powiedzą i załatwią. A nieśmiały? Nieśmiały,

żeby zrobić to samo, musi pokonać samego siebie. I trzeba się bardzo cieszyć, kiedy mu się to uda.

Walka z nieśmiałością jest testem na ważną sprawność, od której zacząłem te rozważania. Trzeba umieć polubić to, co się robi. Warto się do tego zmusić, bo satysfakcja bierze się z tego, że pokonaliśmy własny opór, czyli przeszliśmy sami siebie, a to jest miarą sukcesu.

Przekora natychmiast podsuwa mi z pamięci zdarzenia, które na pozór przeczą temu, o czym piszę. W latach PRL-u (tylko starsi pamiętają tamte czasy) plągą wszystkich miejsc publicznych były toalety – zawsze cuchnące i brudne. Kiedyś na warszawskim lotnisku po przylocie odczułem dosłownie odór PRL-u i pozwoliłem sobie zwrócić głośno uwagę kobiecie w białym (choć brudnym) fartuchu, że mogłaby choćby przetrzeć szmatą podłogę. Odpowiedziała mi z oburzeniem, że za mało jej płacą, by po każdym gościu miała sprzątać. Odparłem na to, że każdą pracę trzeba lubić. I doczekałem się (chyba zasłużenie) potoku wyzwisk.

Z kolei kilka lat później, gdy pracowałem w Niemczech w teatrze, korzystałem z publicznej toalety, w której sprzątaczką była Ukrainka. I ta kobieta powiedziała mi, że to dla niej wspaniałe stanowisko

pracy, bo i języka się uczy, i z ciekawymi ludźmi czasem porozmawia. W ojczyźnie była szarą urzędniczką, całymi dniami przekładała papierki. Od słowa do słowa zaprosiłem ją do teatru na próbę, co wywołało zgorzenie wśród pozornie postępowych artystów. I co się okazało? Ukrainka oceniła sztukę ciekawiej niż cała profesjonalna krytyka. Tak więc widać, że punkt siedzenia nie musi przesądzać o punkcie widzenia, że pozytywny stosunek do życia owocuje większym zadowoleniem i skłania do rozwoju, a tymczasem wygórowane oczekiwania od życia nie są wyrazem ambicji, tylko pychy.

I dlatego właśnie staram się nigdy nie pytać młodych ludzi: „Co chcesz w życiu robić?”, tylko najpierw zadaję pytanie: „Jak myślisz, do czego się w życiu nadajesz, gdzie mógłbyś być potrzebny?”. Pytanie „lubię – nie lubię” jest istotne, ale to nie jedyne pytanie, które trzeba sobie postawić. Ważne jest rozeznanie, do czego się nadaję. Jaki mam talent i gdzie realnie w danych warunkach mam szansę być pożytecznym. Często spotykam ludzi, którzy rzekomo osiągnęli sukces, dorobili się majątku i stanowisk, a zachowują się tak, jakby jechali na jałowym biegu. Nie lubią tego, co robią, i przez to nie lubią siebie. I zatrują życie sobie i innym.